



TYGODNIK ILUSTROWANY DLA DZIECI.



KSIEŻNICZKI MONGOLSKIE.

Dwie mongolskie księżniczki, których podajemy tu wizerunki zdjęte z fotografii zrobionej na miejscu, jakkolwiek pomimo bogatego stroju nie zalecają się urodą, przedstawiają

wszakże nieco uszlachetnione rysy swego plemienia. Twarze ich są mniej płaskie, policzki mniej wystające i oczy nie tak mikroskopijnych rozmiarów. Płeć tylko zapewne mają równie cytrynowo-żółtą, jak ich współrodacy mongołowie, którzy jak wiecie zapewne, byli niegdyś postrachem całej zachodniej Europy a dziś już utracili swoje historyczne znaczenie. Druga rycina nasza przedstawia Tatarów czatujących w zasadzce na nieprzyjaciela.

Opowiadanie pani Augustowej.

(Z pośmiertnych rękopisów)

M. J. Zaleskiej.

(Dokończenie).

Nigdy jakoś o tym domu nie słyszałam, nie wymieniała go ciocia, mówiąc o tych, których miała zamiar dziś odwiedzić, zaczęłam więc rozpytywać o państwa N. Ciocia dość obojętnie odpowiedziała, że przypominała sobie o nich teraz dopiero, a ponieważ postanowiła wszystkie dawniejsze znajomości podnawiać, wprowadzając mnie w świat, więc i ich ominąć nie może. Po chwili powóz się zatrzymał, dowiedzieliśmy się, że pani jest w domu i przyjmuje, wprowadzono nas do salonu. Nie zastaliśmy tam jednak gospodyni, kazała na siebie czekać z dziesięć minut, co podług mnie jest bardzo nieładnie, chociaż w Warszawie nieraz się z tym zwyczajem spotykałam.

Wyszła na koniec pani mecenasowa, przepraszając z nadzwyczajną, nadszakajującą uprzejmością, nie pomnę już, czem opóźnienie swoje tłómaczyła, nie słuchałam tego, bo nie mogłam oczu od niej oderwać. Nie wyobrażajcie sobie, że mnie wdziękami swojemi zachwyciła; nie była wcale piękna, ani młoda; w pierwszej chwili wydała mi się potwornie brzydka, chociaż przypatrzwszy się bliżej, spostrzegłam, że wyglądałaby zapewne jak wiele innych kobiet, i nie zwracałaby na siebie zbyt wiele uwagi, gdyby była ubrana tak, jak inne. Ale szczerze wam mówię, że gdybym na własne oczy nie widziała tej pani, nie uwierzyłabym, ażeby można było dobrovolnie zrobić z siebie taką śmieszna karykaturę. Postaram

się dać wam o tem choć przybliżone wyobrażenie: zaczęłam od głowy i twarzy. Na czole grzywka nastrzępiona, czarna jak węgiel, ponad nią misternie spleciony warkocz tejże barwy, otaczający skronie nakształt dyademem, z tyłu i z boków mnóstwo figlarnych loczków, prawdziwe arcydzieło sztuki fryzjerskiej. Malutka biała koronka, związana w sterzący fontań, przypięta była na samym szczycie tej fryzury jakimś błyszczącymi szpilkami z mnóstwem wieszadełek. Wszystko razem rześkie było przysypane pudrem.

Twarz pani mecenasowej, ach! naprawdę, była to istna maska. Tło wylakierowane dosłownie bielidłem, policzki rumieńcem sztucznym zamazane, brwi, usta, wszystko było malowane, ślady ołówków dookoła oczu, a wszystko to tak widoczne, tak wyraźne pomimo sutego osypiania także pudrem po wierzchu, że jeżeli ona miała błogą nadzieję oszukania kogokolwiek, to już naprawdę niepojęte było złudzenie. Do tego strój; o! co za strój! Niby to negliż domowy, szlafroczek puszczany z materiału nadzwyczaj kosztownego w perski deseń, jaskrawej barwy, cały przód pokryty przepysznymi koronkami. A co świecideł, błyskotek miała na sobie, tego nawet wyliczyć niepodobna; w uszach kolczyki z dużymi jak groch cukrowy brylantami: tak zwane „dormeuse”, na szyi znów ogromne, różowe korale, z pod rękawów szlafrocza, krótkich i rozciętych, wyglądały chude ramiona, zdobne w rozmaite bransolety, złote obręcze i wyrabiane misternie plecionki i paciorki ogromne, a przytem brzękadeł bez liku. Wszystkie palce wyschłe i pomarszczone miała dosłownie obsadzone pierścionkami tak gęsto, że nie wiem, jak niemi poruszała. Łańcuszki, szpilki, medaliony, czego tam nie było! To też strój ten przy widocznym, pomimo całej sztuki kosmetycznej, wieku podeszłym i niezbyt regularnych rysach, czynił panią mecenasową potwornie szpetną, nie przesadzam bynajmniej.

Dziwny przy niej kontrast przedstawiała ciocia, ubrana starannie, wykwintnie nawet, bo, jak mówiła, nie chciała mi wstydu robić. Lecz ubiór cioci był poważny, ciemny, najzupełniej zastosowany do jej wieku i powierzchowności, wyglądała też bez porównania piękniej od p. mecenasowej, wydała mi się w tej chwili naprawdę śliczna i taka jakaś dostojna, a tamta znów przy niej jeszcze była śmieszniejsza. Patrząc na to, dziwnego doznawałam uczucia, i śmiać mi się chciało z tej maskarady, a potem litość mnie brała na myśl, że kobieta niemłoda upokarzała się, wystawiając na pośmiewisko.

Tymczasem wzrok mój mimowoli od stroju p. mecenasowej i cioci przeszedł do mojego własnego. Spojrzałam w zwierciadło, zawieszane naprzeciwko i dreszcz mimowolny przeszedł mnie od stóp do głowy. Twarz moja była naprawdę młoda i świeża, ale wykryłam na niej ślady nieszczęsnych ołówków i lekki pyłek białego pudru, a to jej nadawało niejaki podobieństwo do tej strasznej maski, którą miałam przed sobą. Lata szybko płyną, czyliż kiedyś, w przyszłości mam wyglądać tak, jak p. mecenasowa? O, niechże mnie Bóg broni od tego; nie lepiej postarać się o to, aby być podobną do kochanej cioteczki?

Przez cały czas niezbyt długiej bytności naszej u p. mecenasowej byłam niezwykle milczącą i roztargnioną, trapiły mnie te myśli, wyobraźnia przedstawiała mi w przyszłości postać moją w jakieś straszliwej karykaturze, już i teraz owe nieznaczące ślady ołówków i obłoczek pudru obrzydliwością mi się wydawały. Poruszyłam rękami, zaciskając je kurczowo i brząkanie wieszadełek przy bransoletkach moich także dziwnie niemile mi się dotknęło, gdyż odpowiedział im wiernym echem takż sam dźwięk chwiejących się błyskotek i świecidełek p. mecenasowej.

Wychodziłyśmy już z ciocią z salonu, gdy wszedł staruszek chudy, mizerny, zgarbiony; wyraz głębokiego smutku wryty był na bladej jego twarzy, miałam ochotę zapytać, co mu się stało? Był to p. mecenas; żona wcale nie zaniepokoiła się jego widokiem, zapewne zawsze już tak ponuro wyglądał. Wyprowadzając nas, śmiała się, trzepotała, jak młoda panienka, bo mowę i ruchy starała się widocznie stosować do stroju. Ciocia przez drogę mówiła o rzeczach obojętnych, ani wspomniała o dziwacznej powierzchowności p. mecenasowej, jakby w tem nic nie było nadzwyczajnego. Ja także

milczałam, jakgdybym się wstydziła za tę osobę, całkiem mi przecież nieznaną. Może się za siebie samą wstydziłam bezwiednie..

Dopiero gdy podczas obiadu wspominałam o naszej wizycie w obecności wuja, dowiedziałam się czegoś więcej o osobie tej pani. Najpierw wujaszek zdziwił się niezmiernie i zapytał żonę, skąd jej przyszło do głowy odnawiać stosunki z osobą odznaczającą się tyloma śmiesznościami.

— Była przecież jednocześnie ze mną na pensji — odrzekła ciocia — nigdy coprawda nie zaprzyjaźniłyśmy się z sobą,..

— Tegoby tylko brakowało — mruknął wuj wzruszając ramionami — czy uważasz teraz za stosowne, ażeby Irenka się z nią zaprzyjaźniła?

Rozśmiała się serdecznie a ciocia mówiła poważnie:

— Chociaż ci się to dziwnem wydaje, zrobiłam to właśnie dla Irenki; chciałam, aby wchodząc w świat większy, poznała ludzi rozmaitego rodzaju, umiała ocenić ich sprawiedliwie i odróżnić pomiędzy sobą.

— No, jeżeli ci szło o niezwykle okaz, to mecenasowa rzeczywiście warta widzenia. Niedawno ją oglądałam w teatrze, w loży była pośmiewiskiem wszystkich, którzy na nich patrzyli. A ten biedny mecenas wysechł jak szczapa, bo też gryzie się biedaczysko...

— Czegóż on się gryzie, wujaszku? — przerwałam — ta pani musi być naprawdę troszeczkę, jak powiadasz... — tu dotknęłam palcem czoła — robi z siebie pośmiewisko prawdziwe; ale cóż to jemu szkodzi?

— Jakto co to mu szkodzi? — zawołał wujaszek — on ciężko przez całe życie pracuje, a jejność wszystko zawsze na stroje i zabawy wydawała, nic nie mógł zebrać na stare lata, nic dzieciom nie zostawi. To waryatka bardzo szkodliwa; prawda, że i on winien, czy jabyłm pozwolił na to? Ale do brze to mnie mówić, mając pocziwając żonę, kto wie, czy dałbym sobie radę z taką dobrodziejką. Była ubogą sierotą, gdy mecenas się z nią ożenił, dorwawszy się majątku, zaczęła się stroić, zbytkować, dzieci zaniedbywała; ojciec oddał córki do zakładu naukowego w oddalonym miejscu, ażeby nie miały takiego przykładu przed oczyma, syn mieszka u nauczyciela, bo w domu nie miałyby żadnej opieki.

— O Boże! jakież to okropne! — zawołałam — doprawdy, cioteczko, nie rozumiem, poco ciocia do niej jeździła.

— I ja nie rozumiem — mówił wuj, wzruszając ramionami — chociaż ciocia zwykle wie, co robi, musiała w tem coś mieć.

Nie zastanawiałam się nad tem wówczas, lecz później zrozumiałam, co ciocia w tem miała, ażeby mnie zapoznać z tą panią. Tegoż samego dnia jeszcze wieczorem, nim poszłam spać, wymyłam twarz porządnie mydłem, ołówki rzuciłam ze wstrętem do pieca, pudełko z pudrem także, a naza-jutrz przyszłam do śniadania uczesana zupełnie inaczej, po pensjonarsku, nie włożyłam też ani jednej brzęczącej ozdoby.

Od tej pory odpadła mi całkiem ochota do cudacznych strojów, a zwłaszcza do sztucznego upiększania twarzy. Ubierałam się starannie, ale bez przesady, ile razy wzięła chęć do czegoś podobnego, stawała mi zaraz w pamięci postać p. mecenasowej, która przez próżność stała się złą żoną, złą matką, a na starość jest pośmiewiskiem, bo to, co ona za upiększenie uważa, najokropniej ją oszpeca. A wiercie mi, że i w młodszym wieku jest toż samo: wszystkie te sztuczne środki zupełnie chybiają celu, zamiast dodawać wdzięku, przeciwnie wszelki wdzięk przyrodzony niszczą.

Paniłki serdecznie podziękowały p. Augustowej za to opowiadanie. Ańdzia kręciła główką i powtarzała, że to niepodobieństwo, aby mateczka kiedykolwiek, nawet przed stu laty, była taka próżna.

IGRZYSKA OLIMPIJSKIE.

W starożytnej Grecji w epoce słynnego prawodawcy Likurga, tak nazwane igrzyska olimpijskie ograniczały się na pieszych wyścigach; później z postępem czasu przybywały do

nich inne ćwiczenia, których sława rozeszła się nietylko po Grecyi, lecz i poza jej granicami.

Widownią tych uroczystości była Olimpia, miejscowość poświęcona Jowiszowi olimpijskiemu. Była to piękna równina, otoczona leśniami wzgórzami, pośród których wznosił się uroczy gaj drzew oliwnych i ołtarz Jowisza, zastąpiony później obszerną świątynią, zdumiewającą swą wspaniałością.

Na zachodnim krańcu gaju leżało stadium t. j. arena przeznaczona na igrzyska piesze, a na wschodnim hipodrom, czyli tor wyścigów konnych. Na okolicznych wzgórzach zasiadały nieprzeliczone tłumy widzów, którzy głośno zachęcali, chwalili lub ganili walczących.

W wigilią dnia, przeznaczonego na igrzyska, składano bożkom uroczyste ofiary, przeciągające się aż do nocy. O świcie rozpoczynały się gonitwy, o których wyrokowali sędziowie, zajmujący wnętrza stadium. Na znak dany przez herolda, występowali szermierze i atleci, używając bożków na świadków, że przez 10 miesięcy gotowali się do walki. Późem heroldowie zwracali się do zebranego ludu, pytając się gromkim głosem: czy chcący uczestniczyć w wyścigach atleci nie dopuścili się nic takiego, co by im nie dozwoliło brać udziału w igrzyskach, a nie usłyszawszy żadnego zarzutu dawali znak do rozpoczęcia walki.

Wielką okrywał się sławą szybkobiegacz, który pierwszy stanął u mety. Herold głosił imię jego, wymieniał kraj, gdzie się urodził, a zebrany lud radośnie je powtarzał. W hipodromie odbywały się wyścigi na koniach i dwu lub czterokołowych wozach. Najzaszczytniejsze, ale też i najniebezpieczniejsze było zwycięstwo na czterokonnym wozie. Jeźdźcy stali na wozach, a za danym znakiem puszczali wodze, i kilkanaście par na pół dzikich rumaków w rozruchanym pędzie wpadało na tor. Naraz wozy się zaczęły, wywracały, a nie jeden jeździec padał martwy na polu walki. Do tych gonitw królowie wyznaczali swoje konie, gdyż większy zaszczyt spadał na właścicieli koni, niż na jeźdźców lub kierowników.

Do igrzysk pieszych należała jeszcze szermierka, walka na pięście, skoczne płasy przy odgłosie fletu i rzucanie krążkiem metalowym zwany dyskiem. Szermierka i walka na pięści nie obeszły się nieraz bez ciężkich obrażeń; dosyć często płynęły potoki krwi, zakończone śmiercią szermierzy.

Po wspaniałych ofiarach religijnych, kładących kres uroczystościom, zwycięzcy w świąteczne przybrani szaty, z gałązkami palmowymi w ręku, przy towarzyszeniu fletni odbywali pochód uroczysty. Jedni postępowali pieszo, drudzy siedzieli na dzielnych rumakach, lub stali na wozach zdobnych kwiatami. Najprzód ogłaszano imię najdzielniejszego szybkobiegacza, a sędziowie na skroń jego kładli wieńiec z gałązek oliwnych. Proste odznaczenie to było uważane w Grecyi za największy zaszczyt, jaki śmiertelnika spotkać może. Ziomkowie odprowadzali zwycięzcę w tryumfie do domu, śpiewali pieśni na cześć jego i stawiali mu w Olimpie posąg marmurowy lub miedziany. W późniejszych czasach w gaju olimpijskim było kilkaset podobnych posągów.

Igrzyska te odbywały się regularnie co cztery lata w miesiącu lipcu. Nieznoszą upału, chmury komarów i much zjadliwych, brak świeżej źródlanej wody, nic nie zdołało odstraszyć wesołego ludu greckiego od przyjęcia udziału w tych uroczystościach. Kogo nie nęciły same igrzyska, tego wabił zjazd różnych artystów, którzy korzystali z tej największej uroczystości, aby się pokazać w oczach wszystkich Greków. Mówcy i poeci wygłaszali tu swe utwory, a malarze i rzeźbiarze przedstawiali swe arcydzieła. Często spotykali się tu przyjaciele, którzy się od dawna nie widzieli, a wielu tu dopiero zawiązywało żywsze węzły wzajemnej sympatii.

Była to wspaniała narodowa uroczystość, w której Grecy uczyli się z dumą spoglądać na kraj swój i swój naród, sławę i łaskę bożków, którzy ich obdarzyli tak piękną ziemią i tylu znakomitymi mężami

Henryk Wernic.

Tajemniczy Zamek.

(Dalszy ciąg).

XVII.

Z rozmowy barona Gorca z Orfanikiem wiadomo już czytelnikom, że wybuch zniszczyć miał zamek dopiero po ucieczce barona.

Otóż w chwili gdy wybuch nastąpił, niepodobną zdawało się rzeczą, żeby baron miał czas umknąć przez tunel, przejeżdżając na wóz wychodzący. Czy więc w uniesieniu boleści oszalały rozpaczą, sam nie wiedząc co czyni, Rudolf Gorce wywołał natychmiastową katastrofę, której sam pierwszy padł ofiarą? Czy po tych wyrazach niezrozumiałych, które mu się z ust wymknęły w chwili, gdy kula Rocka zdruzgotała szkatułkę, którą z sobą unosił, postanowił zagrzebać się żywcem pod zwaliskami zamczyska?

W każdym razie, prawdziwym to było szczęściem dla agentów, że w chwili gdy wybuch wstrząsnął murami olbrzymiego zamczyska, znajdowali się jeszcze w pewnej od niego odległości. Kilku zaledwie dosięgły odłamy gruzów, które stoczyły się z płaskowzgórza. Cud to wszakże prawdziwy, że ten grad kamieni nie zmiażdżył Rocka i leśnika, oni tylko bowiem znajdowali się tuż pod murem obwodowym w chwili wybuchu.

Rocko, Niko Deck i agenci, ochłonawszy z pierwszego popłochu, wdrapali się na przeciwny brzeg wału do połowy gruzami zasypanego i bez wielkiej trudności przebyli mur obwodowy. O pięćdziesiąt może kroków od furtki trafili na zwłoki ludzkie leżące w gruzach, u podnóża baszty.

Były to zwłoki barona Rudolfa Gorca na Gorcu; poznali je starzy ludzie miejscowi, a pomiędzy nimi i Imci pan Kolec, który się nawet ani chwili nie wahał w stwierdzeniu tożsamości barona.

Rocko jednak i Niko Deck myśleli tylko gdzie i jak młodego hrabiego odszukać. Franciszek nie ukazał się na godzinę pomiędzy nim a Rockiem umówioną, był to więc znak, że nie potrafił ująć z zanku!

Rocko nie śmiał mieć nadziei, że młody hrabia ocalał, że nie padł ofiarą katastrofy... Płakał więc rzewnymi łzami nieborak a Niko Deck nie wiedział, czym i jak go pocieszyć.

Jednakże po półgodzinnym przeszło poszukiwaniach, znaleziono młodego hrabiego na pierwszym piętrze baszty. Nieruchomy, bezwładny, lecz żywy przecie leżał pod wystającym muru żalodem, który go zasłonił i od zmiażdżenia ocalił.

— ...Panie mój! panie drogi! Panie hrabio...

To były pierwsze słowa, które wyszły z ust Rocka i Nikona, gdy pochylił się obaj nad nieruchomo leżącym Franciszkiem. Za umarłego go mieli, zemdlonym przecie był tylko...

Franciszek otworzył ociężałe powieki, lecz błędne, zagasłe jego spojrzenie zdawało się mówić, że ani poznaje Rocka, ani głosu jego nie słyszy.

Niko Deck uniósł z ziemi młodego pana i trzymając go w ramionach, przemawiał do niego, wołał, lecz żadnej nie otrzymał odpowiedzi.

Z ust Franciszka wydobywały się tylko ostatnie wyrazy arii, którą śpiewała na chwilę przed śmiercią Stilla:

„Voglio morine...”

Franciszek Telek dostał pomieszania zmysłów.

(d. n.)

SZTUKA CZY RZEMIOSŁO

Z NIEMIECKIEGO.

(Dalszy ciąg).

Z poza kowali wysunął się teraz człowiek olbrzymiego wzrostu w wilczą skórę odziany i grzmiącym głosem zawołał:

— Jestem wilk! jestem wilk! chcę pożreć brodaczy!

Drżący ze wzruszenia Hubert przeklinał ciągle te przerwy. Chcąc usłyszeć dalszy ciąg rozmowy, zaczął wołać na nieznanym, kiwać na nich głową, napróżno: wszyscy mieli oczy na plac zwrócone, on zaś nie mógł przybliżyć się do cze-

ladników, bo z dzieckiem na ręku niepodobna było przeciskać się przez tłum.

Po wilku wyskoczył znów człowiek w masce, od stóp do głów poobwieszany małemi zwierciadłami i gałązkami sośniny. Obok niego biegła zamaskowana kobieta w długiej, różnokolorowej szacie. Mężczyzna wrzasnął na całe gardło:

— Brodaczy jestem ozdobą!

Kobieta cieniutkim głosem zawtórowała:

— I ja z tobą! i ja z tobą!

— Powiadasz więc, że syna nawet z domu wypędził? — pytał jeden z czeladników.

— Tak — brzmiała odpowiedź. — Kubek w kubek podobny do mego pana z tą tylko różnicą, że nieboszczyk oburzał się na mody panów, on zaś nienawidził sztuki i malarzy. Doprawdy można się było brać za boki od śmiechu patrząc, jakie piorunujące spojrzenia starzec rzuca nieraz na gości rozmawiających w obojętnej.

— Żałuję, że mnie tam niema! — z uśmiechem zawołał drugi. — Dopierobym mu nadokuczał!

— Zostaw to innym. Zgryzota pewnie niedługo wtępi go do grobu...

Hubert wyteżył całą uwagę, ale uszu jego dolatywały tylko oderwane zdania: przyszła kreska i na niego", „piekło tam prawdziwe".

Nowe maski wciąż na plac występowały, tłum cisnął się za nimi, płynąc jak fala. Boleść ścisnęła serce Huberta gdy spostrzegł, że z każdą chwilą czeladnicy oddalają się od niego. Nie mógł oprzeć się pokusie dopędzenia ich, dowiedzenia się bliższych szczegółów o ojcu, ale żadne prośby ani namowy nie zdołały skłonić Tomcia do ruszenia się z miejsca.

— Nie pójdę — upierał się chłopczyk. — Chcę zobaczyć to zwierzę — mówił wskazując na ciągnionego przez konie i ludzi olbrzymiego drewnianego smoka, który zamykał orszak. Smok ten zatrzymywał się przed ratuszem i o zmroku puszczano zeń wspaniałe fajerwerki. Hubert przewidywał, że niełatwą będzie rzeczą przedrzeć się przez tłum z dzieckiem, nie wahał się jednak, bo czeladnicy znikali mu już z oczu.

— Bądź grzeczny, Tomciu, chodź z ojcem — rzekł surowo prawie, biorąc na ręce malca, który opierał się, krzycząc na całe gardło.

— Niech pan zostawi dziecko na tym słupie, ja nie odejdę od niego — odezwał się nagle tenże sam chłopiec, który poprzednio ofiarował orzech Tomciowi.

Hubert spojrzał na mówiącego: szczerą, otwartą twarz chłopca ufnosć w nim wzbudziła. Zawahał się jeszcze ale w tej chwili czeladnicy znikli na zakręcie ulicy... to go zdecydowało ostatecznie, postawił Tomcia na słupie i powiedziawszy: „Pilnuj go, powrócę za chwilę”, rzucił się w tłum. Krew uderzała mu do głowy, tchu w piersiach brakło, gdy przedzierał się przez tę żywą zaporę, zagrządzając mu drogę. Dobiegł już wreszcie do zakrętu, dostrzegł znowu w oddali czeladników ale... smok stojący na placu ruszył w tejże chwili ku ratuszowi a fala ludu za nim popłynęła. Żadna siła ludzka nie zdołałaby teraz oprzeć się temu prądowi, to też i biedny Hubert zaniechał rozpaczliwej walki. Nareszcie przyparty do ściany jakiegoś domu, wbiegł do sieni: odechnął z głębi piersi, rozejrzał się w około... nigdzie nie było czeladników. Pobiegł w przeciwną stronę i tu ich nie znalazł. Zmęczony, zrozpaczony zaniechał wreszcie dalszych poszukiwań i poraz drugi rzucił się w tłum aby powrócić do syna. Teraz przyszło mu to z większą łatwością, bo ludzie powoli rozchodząc się już zaczęli: poznał narożny dom, przy którym stał z dzieckiem, poznał ów słup kamienny, ale nigdzie nie widać było ani starszego chłopca, ani Tomcia.

— Tomciu! Tomciu! gdzie jesteś? — zawołał z niepokojem. Nagle poczuł, że ktoś go szarpie za rękaw, obejrzał się i spostrzegł owego chłopca, któremu powierzył dziecko, a który teraz szlochając zawołał:

— O! niech się pan nie gniewa, to nie z mojej winy się stało!

— Gdzie Tomcio? gdzie zostawiłeś dziecko? — z rozpaczą zawołał zniecierpliwiony ojciec.

— Nie wiem, panie — odrzekł chłopiec głosem od łez



TATARZANKI.

przerwanym. — Kiedy ten smok tu nadjechał, ścisnęło mnie tak, że nie mogłem ustać na miejscu. Tłum porwał mnie za sobą a gdy powróciłem, Tomcia nie było już na słupie.

— O Boże! moje dziecko! moje dziecko jedyną, zabita

pewnie! podeptane w tłumie! — wykrzyknął Hubert załamując ręce i biegając jak szalony po pustej już teraz ulicy. Napróżno jednak zaglądał do każdej sieni, napróżno zapytywał wszystkich przechodniów: Tomcio zginął bez śladu.

Sachs przed chwilą właśnie powróciwszy do domu, prze-

— Tomcio zginął! — wykrzyknął Hubert tonem niewysłowionej rozpacz.

— W jaki sposób? — niedowierzająco zapytał Sachs.

— To moja wina!... Nie pytajcie mnie o nic... jestem najniešťszczęśliwszy z ludzi... co ja powiem żonie! — wołał Hubert i ukrywając twarz w dłoniach, z przynębieniem osunął się na krzesło.

— Uspokój się, mój drogi i opowiedz nam, co się stało — nalegał Sachs.

Hubert nie był zdolnym odpowiedzieć, płakał jak dziecko, powtarzając wciąż, że on sam jest wszystkiemu winien. Zaniepokojony Sachs przemocą odjął mu wreszcie ręce od twarzy i przemówił tonem tak stanowczym i uspokajającym, że nieszczęśliwy ojciec opowiedział wreszcie całe to bolesne zdarzenie.

— Biedne dziecko! — ubolewała ze łzami pani Kunegunda.

— Czy byłeś już w domu, Hubercie? — spytał Sachs, w milczeniu wysłuchawszy opowieści.

— O nie! — zawołał Hubert z nowym wybuchem rozpacz — to nad moje siły! Cóż ja powiem Elźbiecie?

— A jednak jest to rzecz konieczna. Może Tomcio umiał powiedzieć gdzie mieszka i jakaś litościwa dusza odprowadziła go do domu, podczas kiedy my rozpaczamy tutaj.

— Nie — zaprzeczył niepokieszony ojciec — on nie wie, jak się nasza ulica nazywa. Zabili go pewnie w tłumie i to z mojej winy! z mojej winy!

— W każdym razie musimy pójść do Elźbietki — po chwili namysłu powtórzył Sachs — jeżeli istotnie chłopca niema w domu, trzeba się z nią naradzić, co dalej począć.

Hubert długo się temu opierał; przyzwyczajony jednak od lat tylu do ulegania we wszystkim woli dawnego majstra, uwierzył wreszcie, że być może, dziecko śpi teraz najspokojniej we własnym łóżeczku. Stanąwszy przed domem, spojrzał z niepokojem przez okno do wnętrza mieszkania: w pokoju nikogo nie było.

Sachs zastukał do drzwi... nikt nie otworzył.

— Elźbietka musi być na górze u ojca — bezdźwięcznym głosem rzekł Hubert.

— I pewnie wzięła z sobą Tomcia — dorzucił Sachs, zmiierzając ku schodom.

Hubert szedł za nim jak winowajca, którego na śmierć prowadzą. Doszedłszy na trzecie piętro, zatrzymali się przed drzwiami pilnie nasłuchując, ale uszu ich doszedł tylko jednostajny szmer zegarków i głos Elźbiety rozmawiającej z ojcem. Nawpół nieprzytomny Hubert oparł się o poręcz, wzrokiem błagając Sachsa aby opóźnić jeszcze straszną tę chwilę, ten jednak nacisnął klamkę i przemocą prawie wprowadził do pokoju opierającego się towarzysza.

— Wracacie wreszcie! — wesoło zawołała Elźbietka. — Czy Tomcio był grzeczny? ale... coż to się stało? — wykrzyknęła spostrzegłszy zmienioną twarz męża — gdzie dziecko?

Hubert jęknął głucho. Słowa żony rozwiały ostatnie jego złudzenie, odebrały ostatnią nadzieję: Tomcio nie wrócił do domu.

— Na miłość Boską, Hubercie, powiedz, co się stało!... Zabijasz mnie swym milczeniem!... Gdzie nasz syn?

Ale na zapytania te brzmiące śmiertelną obawą, Hubert nic nie odpowiadał, powtarzając tylko grobowym, bezdźwięcznym głosem:

— Bóg mnie ukarał! Przekleństwo ojca mnie ściga!

Chcąc położyć koniec przykrej tej scenie, Sachs w krótkich słowach opowiedział, w jaki sposób dziecko zginęło. Nieszczęśliwa kobieta słuchała go w milczeniu; śmiertelna bladeść twarzy jej okryła; wszystkie niebezpieczeństwa, które w tłumie grozić mogły ukorhanemu dziecku, stawały jej ży-

bierał się rozmawiając z żoną, gdy nagle ktoś gwałtownie szarpnął drzwiami i do pokoju wbiegł Hubert z wyrazem dzikiej boleści na twarzy.

— O Boże! co się stało! — zawołała z przerażeniem pani Kunegunda.

wo przed oczyma, a jednak nie śmiała jęknąć, nie śmiała ust otworzyć czując, że każde jej słowo byłoby oskarżeniem lekkomyślnego ojca. Przerażony niemą jej rozpaczą Sachs przyrzekał rozpocząć natychmiast najściślejsze poszukiwania, zapewniał, że wszystko skończy się szczęśliwie. Starzec drżącym od łez głosem pocieszał ją także, ale Elżbieta zdawała się nic nie słyszeć. Nie poruszyła się, nie jęknęła nawet: stała jak posąg z załamanymi rękoma. Przez chwilę grobowa cisza panowała w pokoju, przerywana tylko głosem Huberta, który wciąż powtarzał: „Przekleństwo ojca mnie ściga”. Wyraz głębokiej zadumy malował się na twarzy Sachsa, który rozumiał, że należy przedewszystkiem wyrwać z odrętwienia nieszczęśliwych rodziców. Wreszcie twarz jego rozjaśniła się, wznosił oczy ku niebu, złożył ręce i uroczystym głosem mówić zaczął:

„Kto się w opiekę odda Panu swemu”....

Słowa te pełne prostoty odniosły skutek pożądany. Elżbieta z głośnym płaczem rzuciła się na szyję mężowi, któremu także łzy z oczu trysnęły, obojgu przynosząc ulgę we wspólnym nieszczęściu.

— Czy pani jest tutaj? — odezwał się nagle jakiś nieśmiały głosik i Ańdzia stanawszy na progu, usprawiedliwiała się, iż pomimo kilkakrotnego stukania nikt jej nie otwierał.

— Czego chcesz, moje dziecko? — spytał Sachs — przyjdź lepiej jutro.

— O panie, nie mogę — odrzekła dziewczynka — mama jest bardzo słaba i lękam się wychodzić z domu — dodała, oddając Elżbiecie przyniesioną robotę.

— Idź stąd! — gniewnie zawołał Hubert. — Czy nie widzisz, że nie mamy teraz czasu zajmować się tobą?

— Nie gniewaj się na nią, Hubercie — łagodnie odrzekła Elżbieta. — Oto masz pieniądze, moje dziecko — dodała zwracając się do Ańdzy — przyjdź za kilka dni, może znajdzie dla ciebie robotę, teraz nie mogę — głośne szlochanie przerwało jej mowę.

Ańdzia patrzyła na nią z osłupieniem, nie ruszając się z miejsca.

— Idź sobie! nie dostaniesz teraz roboty! — krzyknął Hubert.

— Nie czekam wcale na robotę — odparła dziewczynka — chciałam tylko powiedzieć pani Elżbiecie, że spotkałam Tomcia na rynku i że...

— Znalazłaś Tomcia! Gdzież on jest! — krzyknęła Elżbieta i wybiegła na schody, nie słuchając już dalszych słów Ańdzy.

— Biedne dziecko było tak zmęczone, że zostawiłam je w sieni a sama przyszłam na górę.

Po chwili uszczęśliwiona matka wróciła z Tomciem, którego wszyscy powitali radośnie. Rozespany chłopiec przechodził z rąk do rąk; wszyscy pieścili go i całowali; niczyja jednak radość nie dałaby się porównać z uczuciem, jakie napełniało w tej chwili serca obojga rodziców, bo odzyskany skarb wydawał im się podwójnie drogim.

W parę tygodni potem Sachs siedział pisząc w swej księdze, gdy do pokoju weszła Elżbieta.

— A! co za miły gość! — rzekł z uśmiechem, powstając. — Ale cóż to się stało? — dodał z niepokojem, spostrzegłszy niezwykłą jej bladłość.

— Przychodzę pożegnać was — drżącym od łez głosem odrzekła Elżbieta.

— Pożegnać nas! — wykrzyknął Sachs — cóż ci do myśli przyszło, kobieto? dokądże się wybierasz?

— Nie mogę zostać tu dłużej — odrzekła Elżbieta — muszę ratować Huberta, bo ciągle troska do grobu go wpędzi. Idę do Erfurtu.

— Idziesz do Erfurtu! — zawołała pani Kunegunda, w tej chwili wchodząc do pokoju. — Wielki Boże! nigdy na to nie pozwolimy.

— Nic mnie odwieść nie zdoła od tego postanowienia — tonem niezwykłej stanowczości odrzekła Elżbieta. — Od chwili przyjscia na świat Tomcia zauważyłam dziwną zmianę w Hu-

bercie: dawna jego wesołość znikła bez śladu, nieraz godzinami całeni siedzi zamyślony albo też odpowiada z roztargnieniem, jak gdyby nie słyszał, co się dzieje w około niego. Przez długi czas łudziłam się, że to minie szczęśliwie.

— Istotnie — przerwał Sachs — niezwykle usposobienie Huberta zwróciło i moją uwagę. Nie rozumiem, co mu się stało.

— Zaraz to panu wytłumaczę — odparła Elżbieta, powtarzając dawniejsze swoje domysły, w których smutna owa przygoda podczas świąt Wielkiej Nocy utwierdziła ją ostatecznie. — Pamięta pan, z jaką rozpaczą Hubert powtarzał wtenczas, że to przekleństwo ojca go ściga? — mówiła dalej. — Zresztą martwi się ciągle smutnymi wiadomościami, jakie wtedy usłyszał, rozpacza, że Bóg ukarze go za postępowanie z ojcem. Nie mogę zwlekać dłużej, pójdę do Erfurtu i przyniosę mu przebaczenie ojca.

— Masz słusność, Elżbieto — rzekł wreszcie Sachs tonem głębokiego przeświadczenia — musisz go ocalić, ty jedna możesz to uczynić.

— Dlaczego ona tylko? — z głębokiem wzruszeniem spytała pani Kunegunda — czyż nie lepiej byłoby, aby Hubert sam udał się do ojca?

— O nie! — zaprzeczyła Elżbieta — on nie potrafiłby zmiękczyć jego serca i uzyskać przebaczenia!

— Ale pomyśl na jakie niebezpieczeństwa się narażasz! — przekładała jeszcze pani Kunegunda.

— Nie lękam się niczego, skoro potrafiłam dokonać rzeczy najtrudniejszej i rozstałam się z dzieckiem.

— Masz słusność! — ze łzami w oczach zawołał Sachs — nie ulęknie się żadnych trudności, kto ma wielką miłość w sercu.

— Proszę was tylko — mówiła jeszcze Elżbieta — czuwajcie tutaj nad moim ojcem i dzieckiem. Ańdzia, która wczoraj właśnie pochowała matkę, przyrzekła mi, że zamieszka u nas podczas mojej nieobecności i zajmie się gospodarstwem. Wy, dobry panie — dodała zwracając się do Sachsa — wytłumaczcie Hubertowi, dlaczego go nie pożegnałam i powiedzcie mu, że czynię to dla jego miłości.

Oboje małżonkowie przyrzekli uroczystie spełnić jej prośbę; pani Kunegunda oświadczyła nawet, że sama gotować im będzie obiady.

Bóg wam to wynagrodzi — z wdzięcznością odrzekła Elżbieta.

— Ale dlaczegoż ci tak pilno w drogę? — zatrzymywała jeszcze pani Kunegunda — może udałoby się znaleźć ci jakiego towarzysza?... Drogi są niepewne, często słychać o kradzieżach i rozbojach.

— Istotnie, może lepiej byłoby poczekać — dorzucił Sachs, którego spokój zachwiany został słowami żony.

— Ufam opiece Boga, bez woli którego włos nam z głowy nie spadnie — uroczystym głosem odrzekła Elżbieta i pożegnawszy serdecznie swych przyjaciół, ruszyła w drogę, pełną trudów drogę, podczas której jedna myśl tylko sił jej dodawała, przyświecając jak gwiazda przewodnia: myśl, że czyni to dla przywrócenia spokoju człowiekowi, którego nade wszystko kochała.

VII.

Z E G A R K I.

Czeladnik, którego słowa ostatecznie zatruiły spokój Hubertowi, mówił istotnie prawdę. Pan Krempel leżał już od kilku miesięcy na cmentarzu, a choroba i ciężkie troski nawiedziły dom jego ojca.

Po owej surowej przeprawie z Hubertem, pan Haberman obchodząc jak zwykle wieczorem dom cały, aby się przekonać, czy wszędzie światła pogaszono, zdziwił się wielce, zobaczywszy pokój syna pustym. Ani na chwilę nie przyszło mu na myśl, że Hubert może spełnić surowy rozkaz i ruszyć w świat o własnych siłach. I teraz jeszcze był pewien, że chłopiec poszedł na noc do Krempla albo do Kleina i że naza-

jutrz powróci, przeprosi za swój upór i wyrzeknie się szalonych mrzonek; przecie taki mazgaj i niedołęga nie miałby odwagi zrobić coś podobnego — pomyślał. Ale gdy minął dzień jeden i drugi a Hubert nie powracał, gdy wreszcie pewnego wieczoru pan Krempel przyszedłszy do oberży, naponuknął o tem, że chłopiec pożegnał go przed rozpoczęciem swej wędrówki, wtedy pan Haberman zapłonął strasznym gniewem. Zapomniałszy przekleństw, które w uniesieniu miotał na syna, uważał jego postępek za karygodne wykroczenie przeciw władzy ojcowskiej i za następstwa obcowania z ludźmi mającymi tak spaczone pojęcia jak Fryderyk Klein. Nieobecność złotnika w Erfurcie utwierdziła go w tem błędnem mniemaniu, że Hubert pod jego opieką udał się w drogę. Od tej pory pan Haberman stał się jeszcze więcej surowym i zgorzkniałym. Nie uczyniwszy ani kroku aby zasięgnąć wiadomości o synu, uważał go za umarłego, unikał wszelkiej wzmianki o nim i surowo zakazał służbie aby w jego obecności nikt nie ośmielił się wymienić imienia Huberta.

Tak mijał rok za rokiem, a szybkimi krokami zbliżająca się starość nie zapowiadała się wesoło człowiekowi, który niczyjego serca zjednać sobie nie umiał. Oprócz wielu przykrości, których mu los nie szczędził, oprócz oburzenia jakim go przejmowały rozmowy prowadzone w oberży, oprócz zawiści z jaką spoglądał na coraz to większy napływ gości do oberży „Pod złotym kogutem” i głęboko przed wszystkimi tajonej boleści nad ucieczką syna, inne jeszcze ciężkie dotknęło go nieszczęście. Pewnego wieczoru, gdy będąc bardzo zgrzanym, poszedł do piwnicy po piwo, zaziębił się i został tknięty częściowym paraliżem. Choroba ta przykuwająca do fotelu, doprowadzała go do szalonej niemal rozpaczki. Człowiek ten, który przez lat tyle osobiście czuwał nad wszystkim przekonany, że bez jego dozoru wszystko popsują i rozkradną, musiał teraz siedzieć bezczynnie z założonemi rękoma, zostawiając gospodarstwo na łasce służących, bo sparaliżowane nogi odmawiały mu posłuszeństwa.

W tym stanie rzeczy przybyła do p. Habermana daleka krewna z Witemberga, p. Sybilla, i zaraz na wstępie oświadczyła mu, że dowiedziawszy się o jego osamotnieniu i chorobie, pragnie się nim zaopiekować. Nie mając więc nic innego do wyboru jak oddanie się w ręce panny Sybilli lub pozostanie na łasce służących, p. Haberman chętnie przystał na układ, który mu się wszakże wkrótce dał we znaki. Panna Sybilla wzięła go równie jak Katarzynę służącą w oberży tak dobrze w swoją opiekę, że nie miał własnej woli. Nadto jeszcze wszystko szło w oberży nie tak jakby tego pragnął, a w dodatku p. Sybilla od czasu do czasu udawała, że go porzuca i wynosiła się do pobliskiego klasztoru...

W takiej chwili właśnie weszła do oberży młoda, skromnie ubrana kobieta, z tłómaczką podróżnym w ręku... Była to Elżbieta, która chciała nieznana dostać się do domu ojca Huberta, aby zbadać warunki miejscowe i następnie ułożyć sobie, w jaki sposób będzie mogła przynieść ulgę zbolętemu jego sercu. Trafiła szczęśliwie, bo biedny opuszczony starzec nie wiedział co począć. Zajęła chwilowo miejsce panny Sybilli, a następnie na błagania p. Habermana, który polubił ją odrazu, przyjęła obowiązki gospodyni jego domu z wielką radością Katarzyny, która ją pokochała wkrótce serdecznie.

Tak więc pierwsze lody przełamanemi zostały! W szczególności przybywszy do oberży, znalazła więc sposób pozostania w niej na czas dłuższy. Podczas uciążliwej podróży swej z Norymbergi, musiała walczyć z niejedną przeszkodą a nawet i niebezpieczeństwem, a teraz ujrzała się wreszcie u celu. Nieraz zniechęcenie ją ogarniało, nieraz trwoga w serce wstępowała, ale odwaga z miłości płynąca podtrzymywała jej siły. Przyszedłszy do Erfurtu, udała się najprzód do Fryderyka Kleina, który dowiedziawszy się o jej nazwisku, z otwartemi ramionami przyjął żonę kochanego swego Huberta. Po kilkodziwnym odpoczynku w domu gościnnego złotnika, Elżbieta, znalazłszy ku wielkiej swej radości sposobność przesłania listu do Norymbergi, postanowiła uczynić krok najtrudniejszy i z bijącym sercem przestąpiła próg domu, w którym mąż jej ujrzał światło dzienne. Spojrzawszy na surowe

oblicze pana Habermana, zrozumiała wnet, jak ciężkie czeka ją zadanie, pomimo tego jednak wdzięcznem sercem dziękowała Bogu, że pragnienia jej się spełniły, i że jako gospodyni pozostać tu może dłużej.

Już po upływie kilku tygodni pan Haberman przekonał się, że tym razem nie pożałuje swego wyboru. Elżbieta bez zarzutu spełniała podjęte obowiązki, okazując na każdym kroku, że jest sumienną, doświadczoną gospodynią. Dzięki jej energii i pracowitości liczne nadużycia, jakie wkrały się były ostatnimi czasy, znikły teraz bez śladu. Wzorowy porządek panował w oberży, jedzenie bywało smaczne, goście nie czekali na obiad ani na wieczerzę, a Katarzyna pod kierunkiem nowej pani nabyła tylu cennych przymiotów, że pan Haberman nie mógł wyjść ze zdziwienia. Brudna dawniej i rozczochrana, niegrabna i leniwa, krzątała się teraz wesoło i w czystym fartuchu, z gładko uczesanemi włosami zręcznie usługiwała gościom, starając się każdemu dogodzić. Zmiany te wzbudziły ogólną ciekawość: ci których dawne przyzwyczajenie sprowadzało jeszcze do oberży, a którzy znówu dostawali teraz smaczne jedzenie i dobre piwo, dzielili się radością nowiną ze znajomymi. Ciekawość ujrzenia nowej gospodyni sprowadzała też niejednego, a ten wychodził zadowolony i nazajutrz znów powracał. Siedząc w swym fotelu przy oknie, pan Haberman z radością patrzył na wzrastającą z dniem każdym ilość gości. I on także zmienił się do niepoznania. Weselszy i więcej rozmowny, czuł się też znacznie zdrowszy, mógł już nawet o własnych siłach przechadzać się po pokoju. W wolnych chwilach bywając niekiedy u pani Klein, Elżbieta dostała od niej jakąś maść i po wielu próbach udało jej się nakoniec nakłonić pana Habermana do użycia tego środka, który okazał się skutecznym. Młoda kobieta czuła z dniem każdym, że pozyskuje więcej przychylności swego teścia, widziała się jednak daleką jeszcze od upragnionego celu, ani razu bowiem nie zdobyła się na odwagę wymówienia imienia Huberta. Nie rozpaczała przecie, lekając się zbyt niecierpliwego pośpiechu, zadowolona z tego czego dotychczas zdawała dokonać, z ufnością w Bogu czekała chwili stosownej.

W parę miesięcy po opuszczeniu domu, spotkała ją radosna niespodzianka: czeladnik jakiś przybyły do Erfurtu oddał jej listy od męża i od pana Sachsa. Wyraziwszy gorącemi słowami, jaką wdzięcznością przejmują go jej poświęcenie, Hubert donosił zarazem, że Tomcio jest zdrow zupełnie, że Ańdżia pamięta o wszystkich potrzebach jej ojca, a pani Kunegunda zarządza całem gospodarstwem. Spokoj o los ukończonych dodał nowych sił Elżbiecie. Z radością w sercu i z wiarą w przyszłość, starała się jak najsumienniej podołać trudnym obowiązkom, które obecnie stanowiły cel jej życia.

Pewnego sierpniowego wieczoru pan Haberman siedział pod lipą przed domem. W pobliskim kościele dzwoniło na Anioł Pański. Gospodarz śledził oczyma przechodzących, skinieniem głowy witał znajomych, z tym i owym rozmawiał chwilę wesoło. Powoli dźwięk dzwonu rozwił się w powietrzu, coraz dłuższe cienie zalegały ziemię, łagodny wietrzyk poruszał drzew gałęzmi.

— Proszę włożyć ciepły płaszcz, boję się, żeby się pan nie zaziębił — powiedziała Elżbieta, wychodząc z domu i podając mu okrycie.

— Dziękuję pani za pamięć o mnie — niezwykle łagodnym tonem odrzekł pan Tomasz. — Może pani usiądzie tu na chwilę, taki śliczny wieczór, warto odpocząć trochę.

— Nie jestem wcale zmęczona, ale chętnie usiądę przy panu — odrzekła młoda kobieta, przysuwając sobie krzesło.

— Napracowała się pani dzisiaj? — z zadowoleniem zauważył gospodarz.

— Istotnie, dosyć miałyśmy roboty, po obiedzie szczególnie pełno osób było w oberży. Ci chcieli wina, tancerzy i mięso i piwo, ale Katarzyna umie dać sobie rady i o nikim nie zapomni.

— Doprawdy, nie rozumiem, co się stało Katarzynie, poznać jej nie mogę, odkąd pani z nami zamieszkała.

— Jest to rzecz bardzo łatwa do wytłumaczenia — z prostotą odrzekła Elżbieta. — Zarówno panna Sybilla jak

i pan gniewaliście się na nią ciągle, a dziewczyna traciła głowę z przestachu. Ja zaś staram się postępować z nią łagodnie, pochwałę zawsze ilekroć na to zasłuży, to ją zachęca i robota idzie jak z płatka. Nie mam — że słuszności twierdząc, że łagodnym obejściem się można dokazać więcej, aniżeli zbytnią surowością?

— A jakże pani jest zadowolona z tych dwóch nowo przyjętych dziewcząt? — zagadnął gospodarz, zbywając milczeniem uwagę, słuszność której rozumiał teraz doskonale.

— Zdaje mi się, że obie są chętne i pracowite — odrzekła Elżbieta — ale pomimo tego musimy poszukać jeszcze jednej, bo gości codziennie przybywa, a zatem i robota się powiększa — mówiła dalej drżącym ze wzruszenia głosem widząc, że pomimo tak zadawałających wieści, czoło pana Tomasza niezwykle było zaszępieniem.

— Dlaczego pan jest tak smutny? — zapytała znowu po długim wahaniu.

— Różne smutne myśli przychodzą człowiekowi na starość — odrzekł pan Tomasz z westchnieniem. — Ot i teraz, widząc jak pomyślnie zakład się rozwija, przykro mi pomyśleć, że to wszystko pójdzie kiedyś w obce ręce.

— Więc pan nie ma rodziny? Nie ma pan syna, któryby po panu odziedziczył oberżę? — z widocznym wzruszeniem zapytała Elżbieta.

Wewnętrzna walka malowała się na obliczu jej teścia, milczał przez chwilę, wreszcie odrzekł ponuro:

— Nie mam rodziny, jestem sam jeden na świecie. — Ani nawet dalszych krewnych? — nalegała młoda kobieta.

— Miałem syna, ale ten już nie żyje — odrzekł pan Tomasz odwracając głowę.

Ale Elżbieta nie dała się tak łatwo zbić z tropu i wpatrując się badawczo w twarz starca, spytała:

— Od jak dawna syn pański nie żyje?

— Co panią to obchodzi i czemu mi się pani tak przypatruje! — z wyraźną niechęcią zauważył pan Tomasz.

(d. c. n.)

NOWE KSIĄŻKI.

Zbliża się pora gwiazdki a jednocześnie nastaje pora wydawnictw dla młodzieży i dzieci.

W księgarni pp. Gebethnera i Wolffa, przodującej innym w ilości ukazujących się corocznie jej nakładem tego rodzaju książek, widzimy obecnie znaczny ich wybór, już to zupełnie nowych, już tych, które były dawniej wyczerpane. Do ostatnich należą: *Róża na Tanenburgu*, śliczna powiastka Schmidta, w przekładzie Chęcińskiego, tegoż „*Robinson*” dla młodszej dziatwy. Ciekawe opowiadanie Hoffmana „*Zagrzebani w śniegu*” przełożone przez Rzętkowskiego. „*Bajeczki prawdziwe*”, „*Świątek Zosi*” i *Gwiazdka*, pióra nieodżałowanej Maryi Julii Zaleskiej. Przekłady Anczyca „*Duch puszczy*” oraz powieści Mayne-Reida „*Wygnańcy w lesie*” i „*Porwana siostra*”. Powieść Verne’a „*Bez przewrotu*” wszystko w wydaniu ozdobnym, z licznymi ilustracjami. Nowem i szacownem dziełem wpośród tych wydań jest: „*Z dziejów odkrycia Ameryki*”,

opowiadanie historyczne Falkenhorsta przełożone z niemieckiego przez pr. K. Jurkiewicza, co już jest rękopismem wartości zarówno książki jak przekładu. Ciekawa powieść dla młodzieży z angielskiego Stefensona, z pięknymi obrazkami, pod tytułem: „*Skarby na wyspie*” oraz „*Różne ścieżki*”, nowa powieść Teresy Jadwigi dla dorastających panienek, zakończają ten pokaźny szereg, w którym z łatwością znaleźć będzie można pożądane gwiazdkowe upominki dla młodych czytelników. Wspomnieć też jeszcze musimy o ozdobnie wydanej przez autorkę książce dla dzieci od lat 6-ciu do 10-ciu p. M. Weryho, pod tytułem „*Las*”. Jest to zbiór powiastek, w którym opowiedziano w zajmujący sposób przygody zwierząt i ptaków lasy nasze zamieszkujących. Książeczka ta łącząc pożytek z przyjemnością, stanowić będzie także bardzo miły kolenkowy upominek, również jak Z. Morawskiej „*Powiastki drobne dla małych dzieci*”. Niezmiernie też pomyślnie dla dzieci i przeto zachęcające je do nauki czytania, będzie: „*Złote Abecadło*” wydane przez p. Hösicka. Składa się ono z dużych złożonych liter, a w środku każdej z nich pomieszczony został obrazek przedstawiający przedmiot, którego nazwa zaczyna się od danej litery.

DLA RODZICÓW I WYCHOWAWCÓW.

Pismo „**PRZEGŁĄD PEDAGOGICZNY**” poświęcony sprawom wychowania szkolnego a głównie domowego. W roku 1892 między innemi zamieszczone były artykuły: A. Szyca, *Nauka w domu* (szereg artykułów); dr. Fauth, *Hygiena pamięci*; Karpowicz, *Kształcenie woli*; *Zadaniu wychowawczemu w obec ewolucji społecznej*; Wł. Kozłowski, *Psychologia i pedagogika samokształcenia* (szereg artykułów); E. Bogusławski, *Stanowisko damy klasowej*; Thamiu, *Wychowanie i pozytywizm*; dr. S. Kamiński, *Gimnastyka czy gry swobodne dla dzieci?* S. H., *Rodzaje kłamstwa u dzieci*; Lenk, *Wieś i miasto w wychowaniu*; M. Heilpern, *Badania przyrodnicze w czasie wakacji* (szereg artykułów); Lub. Bellamy, *W r. 2000 — w ręku młodzieży*; A. S., *Pismo prostopudłe (z rycinami)*; dr. Oltuszewski, *Istota, przyczyny i leczenie jękania i wadliwego wymawiania (z rycinami)* i in. Jako stałe rubryki: *Z ruchu zagranicznego*; *Kronika wydawnictw*; *Poradnik wychowawczy*: odpowiedzi, dawane czytelnikom w kwestjach wychowawczych; *Pośrednictwo*. Redakcja bezpłatnie pośredniczy między rodzicami i nauczycielami i zbytecznem czyni udawanie się do kantorów. Jako stałe dodatki: 1) **Metodyczny Kurs Nauk**, w którym jest podany plan, podręczniki i wskazówki do wykładu: religii, nauki o rzeczach, jęz. polskiego i fran., arytmetyki, nauk przyrodn., geografii, rysunku i kaligrafii; 2) **Ogródek Dziecięcy** — materiały i wskazówki do gier, śpiewów, pogadek i zajęć ręcznych dla dzieci. Jako premia prenumeratorowie otrzymują podręczniki i dzieła pedagogiczne. Ostatnio wydane zostały: Avery, *Zasady Fizyki*; J. Wł. Dawid, *Nauka o Rzeczach*; Thomas, *Zbiór Zadań*; dr. Scholz, *Wady charakteru dziecięcego i ich leczenie*. W r. 1893 na premia przeznaczone są: *Przewodnik do nauki języka i Kształcenie charakteru* (praktyczna etyka dla młodzieży). PRENUMERATA „*Przeglądu*” ze wszystkimi dodatkami: kwart. 1 rub. 50 kop., z przesyłką: 1 rub. 75 — ADRES: Warszawa, Złota, 26. Numer okazowy na żądanie bezpłatnie franco.

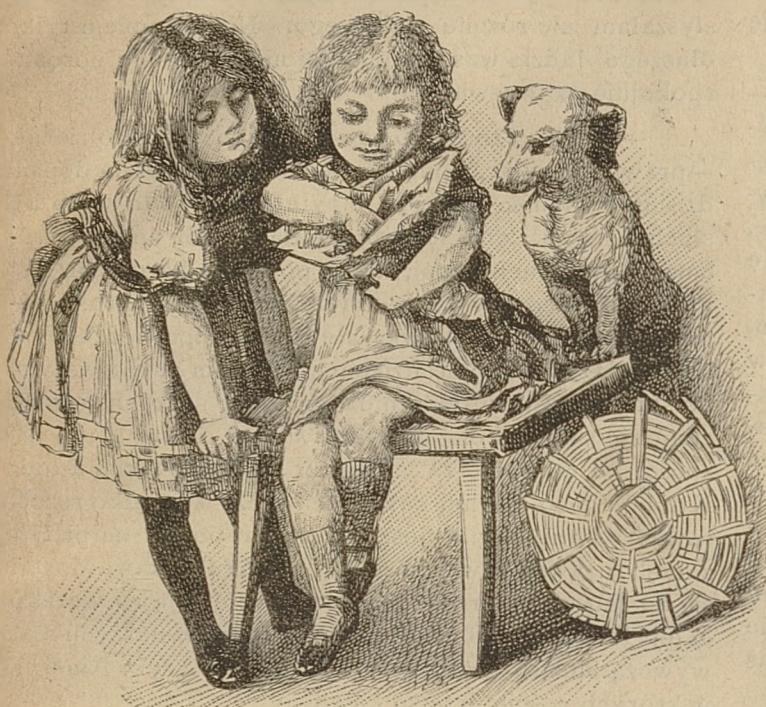
PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do téj ceny półroczna i kwartalna.

Biuro Redakcyi, ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.

TREŚĆ: Księżniczki Mongolskie (z drzew.) — Opowiadanie p. Augustowej, z rękopisów M. J. Zaleskiej. — Igrzyska olimpijskie p. Henryka Wernica. — Tajemniczy zamek. — Sztuka czy rzemiosło, z niemieckiego. — Nowe książki. — Dla rodziców i wychowawców. Dodatek: Nasz Filuś, wiersz (z drzew.) — Przygody ziarenka kawy p. M. Dz. — Przygody Iskierki, Perelki i Brylancika. — Łamigłówki i rozwiązywania. — Dodatek książkowy: W krainie Gwebrow.

WIECZORY RODZINNE.



NASZ FILUŚ.

Biegamy po lesie, gonimy po łące,
A Filek wyprowadza psikusów tysiące.
To szczeka na krowy, to wśród gęsi wpada,
To skacze do góry, w locie muchy zjada.
A jak nas pilnuje, jak strzeże od złego,
Niech tylko zdaleka zobaczy obcego,
Rzuca się ze złością i szczeka tak gniewnie...
Trzeba mu zejść z drogi — ukąsiłby pewnie.

Wracamy do domu; tatuś Filka wita;
„Grzeczny, dobry piesek; strzegł mi dzieci?” pyta.
Filiuś taki mądry, rozumie pytanie
Tak, niby szczekaniem odpowiada na nie.
Jemy podwieczorek, bardzo nam smakuje
A Filiuś tuż obok wciąż się oblizuje,
A tatuś powiada „cierpliwości bratku!
Ludzie jedzą pierwej, pieski na ostatku”.

A. D.

PRZYGODY ZIARNKA KAWY.

Pod dużą szafą stojącą w kuchni zebralo się pewnego razu bardzo niezwykle towarzystwo. W lecie jeszcze zatoczyła się tam piłka Antosia, w parę tygodni później przybył upuszczony przez panią trzygroszniak; potem znów swawolny kotek zaciągnął starą lalkę, kalekę bez ręki i nóg; znalazł się nawet kawałek podeszwy od buta. Oprócz tego codziennie przybywały nowe pył-

ki kurzu, gospodarując tu bez przeszkody. Wszyscy chowali się jak najdalej w kąt z obawy, aby ich kucharka nie spostrzegła i nie wymiotła do śmietnika.

Nudziło im się czasami, dlatego też szczególnie podczas nocy jesiennych zabawiali się, opowiadając sobie wzajemnie swoje przygody. Ale noce stawały się coraz dłuższe; nie było już o czym mówić; to też wszyscy niecierpliwie oczekiwali jakiego nowego przybysza, któryby im przyniósł świeże wiadomości ze świata.

Pewnego dnia kucharka mełła kawę. Aż ręce jej drżały z pośpiechu, bo wieczór już się zbliżał a roboty jeszcze niemało pozostało.

Nagle przez nieuwagę przechyliła młynek, kilka ziarenek kawy upadło na ziemię a jedno z nich zatoczyło się aż pod szafę.

— Ach! jakżem się zmęczyło! — westchnęło z żalem, gdy wtem spostrzegło piłkę i przerażone dodało: Cóż to za jakieś dziwne straszdyło!

— Proszę odzywać się trochę grzeczniej — odparła piłka oburzona tak niepochlebnym sądem o swej powierzchowności.

— Przepraszam panią — pokornie odpowiedziało ziarno — nie dziwcie się, że każda rzecz nowa przejmuję mnie strachem, bo w tej chwili groziło mi okropne nieszczęście. Jakieś żelazne koło chciało mnie porwać i na proch rozetrzeć. Mój Boże! takie malutkie ze mnie stworzenie a takie biedne i nieszczęśliwe!

Toś ty żebrak może? — szyderczo zapytał trzygroszniak który uważał siebie samego za rzecz bardzo cenną i kosztowną.

— O! i pan tutaj! — zawołało ziarno kawy.

Trzygroszniak uszczęśliwiony, że potrafił ściągnąć na siebie uwagę, uśmiechnął się z politowaniem.

— Dajcie pokój tym sprzeczkom — przerwała łagodna piłka — ot, lepiej niechaj nowy sąsiad opowie nam, kim jest.

— Jestem ziarnkiem kawy; pochodzę z wyspy, która leży bardzo daleko od tego kraju a którą ludzie nazywają Cejlon.

— Toś ty cudzoziemiec! — ze zdziwieniem spytała piłka.

— Tak — odrzekło ziarno — ojczyzna moja leży stąd bardzo, bardzo daleko, za górami, za morzami. Śliczny to kraj! Zimy wcale tam niema, słońko przygrzewa przez cały rok, śliczny zapach unosi się w powietrzu, bo wszędzie rosną piękne pachnące rośliny. Najsmaczniejsze owoce, najpiękniejsze drzewa i kwiaty u nas się znajdują. W tym to kraju siostrzyczka moja i ja przyszyliśmy na świat.

— Słuchając twego opowiadania — wtrąciła lalka — przypominam sobie różne bajki, które słyszałam dawniej, gdy niania opowiadała je mojej panience. Ona

także mówiła zawsze o pięknych krajach za górami, za morzami.

— Ale ja nie bajkę wam opowiadam — broniło się ziarno. — To co mówię, jest prawdą, szczerą prawdą. Czy chcecie słuchać dalej?

— Chcemy! chcemy! opowiadajże prędzej! — zawołali wszyscy razem. Nawet pyłki kurzu skupiły się bliżej, słuchając ciekawie.

— Mój pan był bardzo bogatym człowiekiem — mówiło dalej ziarneczko. — Miał on duże pola, na których pracowało mnóstwo robotników. Jak okiem sięgnąć, wszędzie rosły rozłożyste drzewa, które się nazywają drzewami kawowemi. Niektóre z nich były niskie, inne miały nawet do 15 łokci wysokości. Wszystkie gałązki pokryte były wąskimi zielonemi liśćmi i białemi kwiatami. Dziś leżąc w kuchni na talerzu widziałem, jak kucharka przyniosła z targu kilka białych kwiatków i mówiła, że jest to jaśmin. Przypatrywałem im się z radością, bo kwiat naszej kawy jest trochę podobny do tego jaśminu. Gdy kwiat zwieądnie i opadnie, na gałęziach drzewa pozostają kulki, najprzód zielone, potem czerwone, a gdy zupełnie dojrzeją, ciemno-fioletowe. Kulki te są mieszkaniem takich jak ja ziarnek. W każdej kulce jest nas zawsze dwoje, i ja także mieszkalam w takim domku z kochaną siostrzyczką. Ach! jak przyjemnie schodziły nam dni na drzewie! łagodny wietrzyk nas kołysał!... słońeczko tak mile przygrzewało!

Ale szczęście nasze nie trwało długo. Jak tylko owoc, w którym mieszkaliśmy oboje, dojrzał, zaraz przyszli robotnicy, zerwali go, wrzucili do kosza, i wynieśli z ogrodu. Teraz dopiero zaczęły się dla nas wielkie nieszczęścia. Najprzód suszono nas na słońcu przez kilka miesięcy, potem oderwano łupinkę, która nas chroniła i zebrano same ziarnka. Wtedy rozstać się musiałem z ukochaną siostrzyczką. Potem wrzucono mnie z mnóstwem innych ziarnek do ogromnej beczki z wodą. Napróżno jednak przypatrywałem się ziarnom, chcąc siostrę odnaleźć! wszystkie były tak podobne do siebie, że poznać jej nie mogłem. Po wyjęciu z wody rozłożono nas znowu na słońcu i długo, długo suszono. Zdało mi się, że na zawsze już leżeć tak będziemy, aż tu pewnego dnia przyszli ludzie i zsykali nas do dużej skrzyni. Co się potem ze mną stało, nie wiem, bo zamknięte w skrzyni nic nie widziałem, czułem tylko, że jakiś człowiek wziął skrzynię na plecy i słyszałem jak mówiono, że wyprawia nas okrętem za morze.

Nie wiem także, jak długo trwała nasza podróż; wreszcie pewnego dnia odbito skrzynię, a ja ze zdumieniem zobaczyłem, że znajduję się w sklepie u jakiegoś kupca. Podczas kiedy kupiec wysypywał ziarna ze skrzyni i ważył je na wagach, zacząłem ciekawie rozglądać się w około. Do sklepu co chwila wchodzili ludzie, żądając kawy a kupiec otwierał blaszane puszki i syłał ziarna do papierowych torebek. Zrozumiałem, że w tych puszkach są moi bracia i siostry, dawniej do tego kraju przybyli. Na jednej paczce przeczytałem napis *Jawa*: były tam ziarnka większe odemnie i więcej podługowate; na innej: *Mokka*: tam chowano ziarneczka drobne, blade żółte, czasami nieco zielonawe; na innych znów *Jamajka*, *Hawanna* i t. d. Mnie i dużo innych ziarn z tej

samej skrzyni wrzucono do puszki opatrzonej napisem: *Ceylon*. Ach! bo tak się nazywał mój drogi kraj rodzinny! — kończyło ziarno z westchnieniem.

— Cóż to za szczęście, żeś się tu dostało między nas! — zawołała podeszwa, która z wielkiem zajęciem przysłuchiwała się temu opowiadaniu. — Nigdy w życiu nie słyszałam nic równie ciekawego. Nie rozumiem tylko, dlaczego ludzie was tak męczą i nie pozwalają pozostać spokojnie na drzewie.

— Zaraz ci to wytłómaczę — odpowiedziało ziarno — prawdę mówiąc, sama dowiedziałem się o tem dopiero dzisiaj, bo synek naszej pani pytał matki o to samo a ja słuchałem, jak ona mu objaśniała. Otóż ludzie gotują z naszych ziarnek napój, który podobno bardzo im smakuje. Dowiedziawszy się o tem, chłopczyk prosił, aby mu codzień dawano kawę, ale matka odpowiedziała, że kawa szkodzi małym dzieciom. Potem zwróciwszy się do starszej dziewczynki mówiła, że w naszych ziarnach znajduje się jakiś olejek zwany *kofeiną*, który ma tę własność, że przyspiesza obieg krwi i bicie serca u ludzi. Kto pije dużo mocnej kawy, ten może się ciężko rozchorować. Pani mówiła jeszcze, że Arabowie najpierw zaczęli używać kawy za napój. Z Arabii kawa dostała się do Turcyi, a przed 300 laty zaczęto ją rozwozić po całej Europie. Obecnie miliony pudów naszych ziarn wywożą ludzie corocznie z tych okolic Azji i Ameryki, w których rośnie drzewo kawowe.

W tejże chwili czyjaś ręka wsunęła pod szafę szcztokę i bez litości wymiotła piłkę, lalkę, podeszwa, ziarno kawy i mnóstwo drobnych pyłków kurzu. Trójgroszniakowi tylko udało się szczęśliwie wsunąć za nogę od szafy, pod którą sam teraz pozostał.

— Wstydz się, Marysiu! jak można zostawiać tyle śmieci pod szafą! — gniewała się pani na kucharkę.

M. Dz.

Przygody Iskierki, Perełki i Brylancika.

(Dokończenie).

Proboszcz próbował kilka razy rozmawiać z nim o przyszłości jego dzieci, przedstawiał potrzebę dania im nauki; pani M. obiecywała nawet znaleźć starszym córkom miejsce, gdzieby się nauczyły pracować, ale Czarny Tomek słuchać o tem nie chciał.

— Nie — myślał w duchu, nie śmiejąc sprzeciwiać się głośno namowom tych dwojga dobroczyńców — na to nigdy nie pozwolę. Poco im nauka? Przecież ja niczego się nie uczyłem, a jednak daję sobie radę w świecie... Tumrego może poszłę w zimie do szkoły, bo przyrzekłem to żonie, ale starsze dziewczyny muszą zostać ze mną i pomagać mi w pracy.

Napróżno żona błagałnem spojrzeniem popierała nieraz namowy księdza. Tomek nie dał się przekonać. Biedna kobieta słowa już wymówić nie mogła, siły jej gały widocznie, wreszcie pewnego ranka usnęła spokojnie na wieki. Pochowano ją na cmentarzu wioskowym.

Żadne z dzieci nie żałowało zmarłej tak serdecznie jak Nra. Biedne dziecko szlochało długo, nie mogąc się uspokoić. Rzeczywiście ona poniosła najcięższą stratę, bo ciotka kochała ją jak matka, a reszta rodziny nie zapomniała o tem, że ją tu żywią i odziewają z litości. Ze śmiercią ciotki skończyły się jej nadzieje: wuj pewnie nie zechce posyłać jej do szkoły...

Nazajutrz po pogrzebie żony Czarny Tomek zapowiedział dzieciom, że jutro wyruszą w dalszą drogę, bo i tak już tyle czasu stracili.

Norze lzy stanęły w oczach, gdy pomyślała, że znowu trzeba będzie wędrować od rana do nocy, pomimo błota i słoty jesiennej. Teraz pewnie będzie musiała iść ciągle piechotą... niema już dobrej ciotki, która sadzała ją przy sobie na wozie... Nigdy nie miała dużo sił, męczyła się prędko, teraz po tylu nocach spędzonych bezsennością przy chorej, zmizerniała jeszcze więcej i wychudła. Czasami głowa bolała ją tak bardzo, że aż jej się na płacz zbierało.

Usiadła na tapczanie i zapłakała rzewnie. Nagle doszedł jej uszu głos pani M. rozmawiającej z wujem przed szafasem:

— Zostawcie mi jedną z waszych córek. Chciałabym umieścić ją u pocziwych ludzi, u których z pewnością miałaby dobrą opiekę i mogłaby się czegoś nauczyć. Później będziecie sami żałowali swego uporu — przekładała dobra pani.

— Wuju! ja zostanę! ja zostanę! — zawołała Nora wybiegając z szafasu. — Ciocia obiecała mi, że pójdę do szkoły.

Cygan spojrzał na nią surowo. Prawdę mówiąc, nie dbał on o Norę, narzekał nieraz, że ta dziewczyna jest tylko ciężarem, ale przyzwyczajony do tego, że cała rodzina ślepo go słuchała, nie znosił oporu swojej woli.

— Widzicie — mówiła pani M. — że to dziecko ma ochotę do nauki. Czy to nie wasza córka?

— Nie, to siostrzenica mojej żony.

— Zostawcie mi ją. Możecie być pewni, że jej nikt krzywdy nie robi. Spójrzycie tylko jak to dziecko źle wygląda. Rozchoruje się wam jeszcze w drodze i coś z nią zrobicie?

Istotnie, Nora była bardzo mizerna, Czarny Tomek sam to widział. „Może byłoby lepiej pozbyć się jej?” — pomyślał.

— Wasza żona mówiła, że chciałyby posyłać ją do szkoły — nalegała pani M. widząc, że cygan zaczyna się wahać.

— Niechże sobie zostaje, kiedy chce! — ponuro odrzekł Czarny Tomek i słowa więcej nie mówiąc, odszedł. Nie mógł słuchać, jak wspomniano o jego żonie.

Nora słuchała tej rozmowy z bijącym sercem. Teraz oczy jej zajaśniały radością, blada twarzyczka okryła się żywym rumieńcem. W pierwszej chwili nie mogła uwierzyć swemu szczęściu. Pani M. pogłaskała ją po głowce i zapowiedziawszy aby przyszła do dworu jutro o dziewiątej rano, odeszła.

Teraz dopiero Nora przypomniała coś sobie i pobiegła za odchodzącą.

— Proszę pani — zapytała nieśmiało — czy mogę zabrać z sobą moją kotkę?

— Nie, moje dziecko — odpowiedziała pani M. — tamta pani mogłaby być z tego niezadowolona.

Nora zbladła. Zapomniała już o swym szczęściu. Cóż ona robi ze swoją ulubioną kiciunią?... Jak ją porzuci?... Żadne z dzieci nie będzie pamiętało o niej i biedna kotka zdechnie gdzie z głodu przy drodze...

Szlochając głośno, Nora wróciła do szafasu. Długo zasnąć nie mogła tego wieczoru, całowała Perełkę, żegnając się z nią a lzy strumieniem płynęły jej po twarzy. Nareszcie zmęczona usnęła. Nazajutrz zerwała się o świcie i wzięwszy z sobą Perełkę, poszła w stronę wioski. Przyszło jej na myśl, że może tam znajdzie kogoś, kto zechce wziąć jej pieszczoszkę.

Idąc drogą, spotkała wielu ludzi, ale nikogo zaczepić nie śmiała. Wtem z jednej chaty wyszła dziewczynka, wyglądająca na lat jedenaście albo dwanaście. Przechodząc koło Nory, spojrzała na Perełkę i uśmiechnęła się. Nora stanęła.

— Jakiego masz ślicznego kotka! — powiedziała tamta — czy to twój?

Nora podbiegła do niej. Obawa o los Perełki do dała jej odwagi.

— Tak, to moja kotka — odpowiedziała — chciałabym oddać ją komu. Jedna pani obiecała wziąć mnie do siebie a nie mogę zabrać jej z sobą. Czy wzięłabyś ją?... A nie zrobisz jej krzywdy?

— Nie, nie zrobię... Mamo — zapytała wiejska dziewczynka, podchodząc do chaty — czy mogę wziąć tę kotkę?

— Weź, jeżeli chcesz — odpowiedziała kobieta, która siedziała na progu skrobiąc kartofle.

Ze łzami w oczach Nora raz jeszcze pocałowała Perełkę, oddała ją nieznanym dziewczynce i odwróciwszy się zaczęła iść w stronę szafasu. Bała się obejrzeć poza siebie, tak jej żal było kotki; bała się także spóźnić do dworu na naznaczoną godzinę.

— Dlaczego ta dziewczyna tak prędko ucieka? — zapytała Kasia wracając z Perełką do chaty.

— Musi być dzika jak wszyscy cyganie — odpowiedziała matka.

Śmiało zaręczyć wam mogę, że niewielu kotom bywa tak dobrze na świecie, jak jest Perełce u nowych jej właścicieli. Nie ma wprawdzie zbytków w ubogiej chatce, ale nie wie co to głód, wszyscy ją tu lubią, ona też w zamian stara się być użyteczną i pilnuje aby myszy nie zagnieżdżyły się w komorze. Zdaje mi się, że nawet Jakóbek i Zosia byliby zadowoleni z jej losu, gdyby wiedzieli, jak się z nią wszyscy obchodzą. Może to jedno sprawiłoby im przykrość, że tutaj nikt jej nie nazywa Perełką.

Czytelnicy nasi zapoznawszy się z historią Iskierki i Perełki, ciekawi są zapewne losów Brylancika. Niestety! opis ich jest zbyt długi aby go pomieścić w tym roku, więc musimy go odłożyć do roku następnego.

SZARADA.

przez E. M.

Pierwsze usiłuje nakazać milczenie,
Drugie wspaniałe rozmów przesyłanych strzeże,
Wszystkiem, drapieżne z psów rodzaju zwierzę,
Co, kiedy nocne zapadną cienie,
Szczeka, wydaje głos przeciągły, dziki,
Węszy, podchodzi zdradnie.
Żyje w Azji zachodniej, w Indyach gromadnie,
Jako też w Senegalu i krajach Afryki.

ZAGADKA.

Na ziemi pełno mnie wszędzie,
Choć różna ma postać bywa.
Gdy mię z pieca kto dobędzie,
Czarnym mię wtenczas nazywa.

ŁAMIGŁÓWKA ARYTMETYCZNA.

C. B.

Ktoś chciał kupić pewną ilość perkalu po 18 kop.
łokiec. Nie dobrawszy po tej cenie, płacił po 20 kop.
Kupił więc za przeznaczoną na to sumę pieniędzy o 5 łokci
mniej, niżeli miał pierwotnie zamiar. Ile łokci perkalu ku-
pił i ile miał pieniędzy?

ROZWIĄZANIA DO N-ru 49-go.

Łamigłówki sylabowój:

1. IndygO. — 2. LangelanD. — 3. IokaY. — 4. ArgoS.
 5. DiokleS. — 6. AlE. — 7. Iokohama.
- Iliada i Odysea.

Zagadki: S ó 1.

Rebusiku: Postanowienie poprawy.

Skrzynka do listów.

Bardzo dobrze zrobił Tatuś, że namówił *Jemiołę* do przy-
jęcia udziału w konkursie. Szczegóły, które namo swoim otocze-
niu donosisz, czynią pracę twoją tem godniejszą życzliwej uwagi,
a sądząc z listu, nie zdaje nam się, abyś popełniała rażące błędy
językowe. Co do mniejszych, te trafiają się nawet i panienkom
w kraju wychowanym, tem łatwiej więc nam przyjdzie wybaczyć
je dziewczeczce, słyszającej tylko koło siebie język niemiecki.

Syreno kochana, czyż to tylko dla nagrody lub pochwały
pisze się na konkurs? Sam trud myśli, jaki zadać sobie trzeba,
chcąc napisać wypracowanie, już pożytek przynosi. List twój
sprawił nam przyjemność prawdziwą, tem większą, że widzimy
w nim serdeczną cenę pracy, z miłością dla was podejmowanej.

Mała gosposia dobre mieć musi serduszko, skoro tak lubi
zwierzęta. Z przykrością jednak się dowiadujemy, że ma *dwóch*
zajączków, kiedy gramatyka pozwala jej tylko mieć *dwa zające*,
Ostateczny los wychowaućców zależy naturalnie od rodziców, ale
zapewne nie wydadzą na nich wyroku śmierci. Znajome nam
dzieci puściły chowanego zająca do ogrodu, gdzie długi czas prze-
bywał, nie robiąc szkód zbyt wielkich.

Wypracowanie konkursowe *Czarnotki* otrzymaliśmy, a spis
rzeczy posyłamy.

Nagrody *Brunetki* i *Kwiatka* polnego posłano.

Papierosiku, nigdy nie wątpimy, że „sam” robisz zadania.
Kto rosnąc wśród dobrych przykładów, chce wyrość na prawego
mężczyznę, ten zacząć musi od skrupulatnej uczciwości w dro-
biazgach, z których składa się życie chłopięcia.

Muszelko, wypracowanie w swoim czasie osądzimy, obecnie
odpowiadamy ci tylko, że w samej rzeczy, V. Cairo ma teraz nowe
otoczenie, a więc nowe obowiązki i zajęcia. Zalecić możemy Hi-
storyę pow. Zdanowicza od najdawniejszych do nowożytnych cza-
sów, której dopełnieniem jest historia M. Dubieckiego. Pierwsza
kosztuje rs. 2 kop. 90. druga rs. 2, — Na przesyłkę pocztową
dołącza się kop. 15.

Dobrze zrobiła *Zofia Boet*: zdając się na naszą „łaskę i nie-
łaskę”. Dla *staruszek* naszych zawsze serdeczne żywimy uczucia.

Jak mogła nawet przypuszczać *Hanna H.* że nie „zechcemy
jej zaliczyć do grona naszych dzieci”. Dzieweczko droga, tak ser-
decznie garniesz się do nas, że przez to samo za swoją cię uważa-
my i serdecznym przyjmujemy uściskiem.

Wiania bardzo dobry miała pomysł; dałby się on ślicznie
wyzyskać i rozsunąć w nader zajmującą, pełną rzeźnych epizo-
dów opowieść. Wypracowanie, choć inaczej obrobione, złem nie
będzie zapewne, a uległość woli starszych zawsze chwalebna jest
rzeczą. Pani W. listownie odpowie na zwrócone do niej słowa,
my ze swej strony przesyłamy serdeczny uścisk miłej i dobrej
dzieweczce, która chciała narażać swoich bohaterów na tak stra-
szliwe przygody.

Sz. P. Jadwidze Leb. Postaramy się nie zawieść zaufania
pani i dziękujemy za udzielone nam szczegóły, które same przez
siebie znamienne są wskazówkami. Sąd nasz w istocie „wyro-
zumiałym” bywa; kochając bowiem dzieci i znając ich naturę, ro-
zumujemy, co im staje na przeszkodzie do wypowiedzenia myśli
tak, jak się one w ich głowie snują.

Żabko z pod gór Św-Krzyskich, Redakcja nie wymaga od
piszących na konkurs, aby tworzyli arcydzieła i uwzględnia, że kto
jeszcze w dwóch liniach pisze, ten nie posiada wprawy we włada-
niu piórem i łatwości wysłowienia swych myśli. Nie obawiaj się
więc o swoje ćwiczenie, Redakcja oceni sumienną staranność, ja-
kiej dolożyć musiałaś, by je napisać. Praca sumienna zawsze zy-
skuje uznanie, ale też i uznania żąda, dla tego też niesłuszne czy-
nisz nam wymówki, siostrzyczko *Łaszko*, że jeszcze nie miałaś na
pierwszy list odpowiedzi. Zanim numer gotów stanie do druku,
nie mało czasu potrzeba, niezawsze więc możemy udzielić odpo-
wiedzi tak śpiesznie, jakbyście tego pragnęły.

Malino leśna i *Lilio wodna*, „ze strachem” posyłacie mi
wasze wypracowania? Chłubiłam się zawsze szczęściem, jakie
mam do młodszych siostrzyczek, teraz widzę, że na postrach wy-
szłam dla nich. Nie przeszkadza mi to wcale kochać was wszy-
stkie serdecznie.

Gołąbka.

Od Redakcyi.

Do tego numeru dołącza się prospekt *Wieczorów*
Rodzinnych na rok przyszły 1893 jako przypomnienie od
nowienia prenumeraty.